DLA MŁODSZYCH.

Dodatek do Miesięcznika galic. Tow. ochr. zwierząt Nr. 1 z r. 1908.

Krystyna Żegocka.

Wykopaliska w Staruni

Przed tysiącami wieków żyły na kuli ziemskiej olbrzymie zwierzęta, potwory w dzisiejszem pojęciu, o których istnieniu dowiadujemy się tylko z szczątek, wykopywanych tu i ówdzie przy sposobności zapuszczania się w głębiny ziemi. Do takich przedpotopowych olbrzymów należy między innemi mamut, rodzaj słonia, większy od dzisiejszego, gęsto uwłosiony, z grzywą przez grzbiet sie ciągnącą, z siekaczami zwyż dwóch metrów długości w górę zakrzywionymi. Kości jego znajdujemy w Europie, Azyi i północnej Ameryce, przeważnie atoli porozrzucane, niedające dokładnego pojęcia o całości. Z końcem XVIII wieku odkryto na Syberyi pierwszy zupełny szkielet mamuta a przed kilku laty całe zwierze z skórą i mięsem tak przedziwnie świeżo zakonserwowanem, niby w lodowni, iż trudno było odpędzić od niego cisnące się psy zgłodniałe. W paszczy znalazła się trawa z ostatniego posiłku, a żołądek zawierał niestrawiony pokarm roślinny. Wyprawa naukowa po tę zdobycz trwała rok i kosztowała wiele pieniędzy. Podobny do poprzedniego okaz wykopano przed paru miesiącami w Galicyi w Staruni w odległości małej mili od Sołotwiny, przy sposobności poszukiwania za ziemnym woskiem. Zwierzę leżało pod warstwami żwirów w pokładzie gliny a że otaczająca je nafta i wosk ziemny przeszkadzały zupełnemu gniciu, zostały na kościach ścięgna, wiązadła i wielka część skóry, zupełnie dobrze zachowane.

Wedle przypuszczeń uczonych zaszedł ten mamut, żyjący w naszym klimacie na przestrzeniach podmokłych czyli t. zw. tundrach, na trzęsawisko i wpadł do bagna przesyconego naftą, gdzie zakończył życie. Możebnem iż nawdział się na pień dębu, gdyż znaleziono wewnątrz szkieletu drzewo, sięgające do stosu pacierzowego. Trzęsawiska takie, zdradliwe dla zwierząt i ludzi, nie są u nas i obecnie jeszcze rzadkością, a przed kilkunastu laty przyniosły czasopisma wieść o śmierci Bolesława Sp.., który wyszedłszy w okolicy Komarna na polowanie, znalazł prawdopodobnie śmierć przy zapadnięciu się w moczar.

Odkopany w Staruni szkielet mamuta przeszedł na własność muzeum hr. Dzieduszyckich, we Lwowie, gdzie go będzie można niebawem oglądać i dokąd ściągnie bezwątpienia wielu miłośników i badaczów przyrody.

W pobliżu szkieletu mamuta znaleziono w Staruni szkielet przedpotopowego nosorożca, okaz również, a może i bardziej jeszcze ciekawy, co do którego nie mamy atoli jeszcze ani bliższego opisu ani wiadomości o przeznaczeniu tej naukowej zdobyczy.

Zygmunta Przestrzelska.

Wodan.

Wiele bardzo wiele pisze się i mówi o roztropności i zmyślności psów, owych nieodstępnych, od wieków, towarzyszów człowieka, a przecież objawy życia zwierzęcia tego dostarczają nam ustawicznie tematu do nowych spostrzeżeń i opowieści. Niedawno temu podniosły czasopisma fakt niezwykłej przyjaźni dwóch psów w miejscowości Piding, któremi dowoził piekarz Hofman pieczywo do pobliskiego Reichenhallu. Psy te puszczone pewnego dnia popołudniu na wolność pobiegły do sąsiedniego lasu. Gdy wbrew zwyczajowi nie stawiły się do służby wieczorem, ani nazajutrz rano wybrał się Hofman na poszukiwanie zaginionych zwierząt. Dążąc w gęstwinę usłyszał nagle nadszczekiwanie, a wkrótce spostrzegł jednego z swoich psów, który szczekając, kręcąc ogonem, biegając tam i napowrót wabił swego pana w upa-

trzone miejsce. Piekarz zrozumiał te giesta psa, poszedł za nim, a oczom jego przedstawił się przykry widok. Oto drugi z wspomnianych psów uwiązł w samotrzasku. Uwolniono z matni biedne zwierzę i obdarzono w nagrodę podwójną racyą jadła, naturalnie wspólnie z przyjacielem, który przez 24 godzin pilnował o głodzie swego towarzysza, oznajmiał szczekaniem o jego niedoli i uratował go tem od niechybnej śmierci.

I ja z własnych moich spostrzeżeń mogę dorzucić kilka szczegółów, stwierdzających wielką zmyślność u niektórych psów. Przed kilku laty mieszkałam przy rodzinie w Łańcucie a ozdobą willi naszej był okazały pies nowofundlandzkiej rasy nazwany mianem: Wodan, kasztanowatej maści, o białych kończynach łapek niby czystych pończochach wdzianych na nogi. — W pogodne dnie leżał Wodan ustawicznie u progu wili bacząc pilnie, ażali nie zbliża się kto do furty, otaczającego wilę ogrodzenia. Na odgłos dzwonka biegł czem rychlej do furty, wspinał się na tylnych łapach opierał przedniemi o ogrodzenie i wyczekiwał stanowiska jakie zajmie otwierający furtę domownik wobec przybysza. Zdeklarowany wprawdzie nieprzyjaciel kotów przywiązał się był przecież Wodan do małego kociaka, którego do takiej dopuszczał poufałości, że kociak urządzał sobie na jego potężnej głowie wygodne, a ciepłe legowisko — Przezorny, a dbały o swoje zdrowie pies nie tknął się nigdy gorącego jadła, i wyczekiwał cierpliwie aż jadło wystygnie. Niepokoiły go tylko i drażniły ustawicznie wróble swemi zakusami na jego potrawy, to też staczał z niemi zawzięcie walkę, walkę naturalnie bezskuteczną, zwinne wróble bowiem umykały mu z przed nosa, by za chwilę zaatakować jego stołowy serwis z drugiej strony. Wielki przyjaciel mego młodszego rodzeństwa, bawił się z chłopakami w piłkę łapiąc ją w powietrzu i oddając rzucającemu, bawił się też w konia i woźnicę trzymając silnie w pysku cugle, i opierając się z lekka naporowi ciągnących go, niby konie chłopaków. W postępowaniu swem oględny nie rzucał się nigdy na żebraka, jeśli tenże czekał u progu cierpliwie aż otrzymał jałmużnę jeśli atoli żebrak wyciągnął pierwszy śmiało rękę po datek, mógł być pewnym ataku ze strony Wodana. Wierny domowi swemu, nie dał się niczem i nikomu przekupić, co wprawiało w iry-

tacyę zwłaszcza listonosza, który jawiąc się codziennie, a czasem i dwa razy dnia z listami nie mógł wejść swobodnie do wnętrza wili. Przez długi czas nosił mu listonosz łakocie, w nadzieji, iż zawrze w ten sposób przyjaźń, lecz nadzieja zawiodła, a Wodan nie ustąpił ni kroku z zajętego przez siebie stanowiska. Ambicya psa tego do subtelnych dochodziła granic. Wiedząc, że jest przezemnie głaskanym, całowanym i pieszczonym pozwalał sobie bez pytania kłaść głowę i łapy na moich kolanach.

Pewnego dnia nieusposobiona do jego czułości, strąciłam łapy z mych kolan z słowami „idź het, Wodan“ Pies zachmurzył się, skręcił w bok głowę, odszedł ponury i położył się na podłodze. Żal mi się zrobiło wiernego psiska, toż podeszłam do niego, aby go pogłaskać. Wodan zawarczał z lekka i usunął się odemnie. Po chwili nadbiegli chłopacy, którym na wezwanie podawał łapy. Mnie ich stale odmawiał, i długiego dopiero potrzeba było czasu zanim zdołałam przeprosić podrażnionego w swej ambicyi psiska. — Pokrzywdzonych w jego mniemaniu domowników, zwłaszcza, zaś malców brał stale w obronę i posunął się nawet w tej mierze raz tak daleko, iż gdy matka karciła słowami chłopaka, a tenże począł płakać, Wodan wspiął się na tylnych łapach i warcząc na matkę utworzył sobą ścianę między dzieckiem a matką. Z drugiej strony działał w myśl intencyj matki, jeśli uważał w swej opinii, iż ona ma słuszność.

Gdy pewnego poranku mała Zosia rozgrymasiwszy się wylazła w koszulce z łóżka i siadła na stołeczku, nie słuchając polecenia, aby poszła się myć i ubierać, powstał Wodan z podłogi, podszedł do dziewczynki i strącił ją z taką siłą z stołeczka, iż dziecko upadło plackiem na podłogę. Ta admonicya psiska więcej poskutkowała u niegrzecznej Zosi aniżeli słowa i gniew starszych. Wiele, wiele mogłabym snuć jeszcze opowieści na ten temat, lecz gotowam znużyć młodych czytelników, to też kończę moją pogawędkę uwagą, że nie można się nieraz dziwić ludziom, że się tak szczerze do psów przywiązują, iż uważają ich formalnie za członków swej rodziny. Niejaki Jerzy C. Watts bogaty przedsiębiorca budowlany w Chicago zapisał testamentem 20 000 dolarów na utrzymanie swego wiernego czworonogiego towarzysza, który chyba wcale wygodne wiódł życie z odsetek od ta-

kiego kapitału. Swoją drogą iż mimowoli nasuwa się pytanie czy nie za wielką kwotę ofiarował Watts na utrzymanie psa i czy nie mógł on znaczną jej część użyć godniej na osuszenie łez starców, kalek i sierót.

Dobroć ptaka.

Pewnego dnia siedziałem na ławce w ogrodzie. Nie mając nic lepszego do roboty bawiłem się, rzucając okruszyny chleba wróblom, które w tem miejscu gnieździły się licznie. Spostrzegłem wkrótce, że jeden z nich, odpychany przez swych towarzyszy, trzymał się na uboczu. Daremnie z początku czynił usiłowania, aby pochwycić także kilka okruszyn, zgraja nielitościwa jego towarzyszy, widocznie zręczniejszych od niego, zastępowała mu drogę i nie pozwalała mu zdobyć ani jednej okruszyny, i biedak poddając się smutnemu losowi swemu, nie próbował już żadnego wysiłku. Lecz nagle jeden z wróbli, silniejszy od innych, rzucił się w tłum, porwał wielką okruszynę chleba i zamiast ją połknąć, zaniósł ją opuszczonemu ptakowi. Jeszcze nie ochłonąłem z dziwienia, gdy już po raz drugi porwał chleb i zaniósł go swemu protegowanemu. To samo postępowanie powtórzyło się kilkakrotnie, a nie mogąc wierzyć własnym oczom, zbliżyłem się do małego ptaszka, który otrzymywał od swego dzielnego towarzysza tak wspaniałomyślną pomoc i spostrzegłem, że nieszczęśliwy miał złamaną nóżkę i że skacząc na jednej nodze nie mógł iść w zawody z innymi wróblami, walczącymi z sobą o okruszyny.

Śmierć na stanowisku.

Słynny pies rasy św. Barnarda, Bary II, zginął na stanowisku. Barry II był własnością klasztoru na górze św. Bernarda i spełniał gorliwie obowiązki poszukiwacza zbłąkanych podróżnych po wąwozach i ścieżkach górskich w czasie zamieci śnieżnych. Podczas takich wycieczek

mądre zwierzę uratowało w ciągu swojej karyery życie 34 osobom. Raz Barry II przyniósł w pysku do klasztoru niemowlę, którego rodzice leżeli wyczerpani z sił na ścieżce górskiej, poczem wrócił z zakonnikami na miejsce wypadku, tak, że zdołano w samą porę uratować małżeństwo, blizkie już śmierci. Podczas ostatniej swojej wycieczki wierny pies doprowadził trzech zbłąkanych podróżników do miejsca, odległego o 200 kroków od klasztoru, tu jednak pośliznął się na lodzie, wpadł w szczelinę lodowca, głębokości 60 stóp i zabił się na miejscu. Zakonnicy wypchali go i posłali do muzeum w Berlinie, gdzie stoi już wypchany ojciec jego Barry I, pies również słynny z inteligencyi i wierności.

Goryl wschodnio-afrykański.

W lutym r. 1903 członkowie wyprawy niemieckiej do Ruandy (we Wsch. Afryce) kapitan Non Deringe i lekarz wojskowy dr. England spotkali na niezwiedzonym dotychczas wulkanie Kirunga'ya Sabinyo (wys. 3.100 m.) gromadkę dużych małp, z których udało im się zastrzelić dwie, spadły one w przepaść i ostatecznie z trudem wydobyto tylko jedną z nich. Miała ona 1, 5 m wzrostu i 100 kg wagi. W drodze powrotnej została ona uszkodzoną przez hyeny tak, że przybyła do Europy w stanie nieco zniszczonym. Zbadaniem zajął się kustosz Muzeum zoologicznego w Berlinie prof. Matschie znany badacz ssaków i podał opis w „Sitzungberichte der Gesellschaft naturforschender Freunde zu Berlin“. Na zasadzie budowy czaszki i całego szkieletu, a także na zasadzie wielkości i ciężaru ciała, jak również nagiej piersi, prof. Matschie twierdzi, że jest to stanowczo gatunek goryla.

Mikołaj Rybowski.

JAŚ i KOT.

Jaś: „A dzień dobry, panie kocie!
Czemu leżysz i próżnujesz?
Coś nie myślisz o robocie,
I na myszy nie polujesz!“

Kot: „Otóż właśnie myślę o tem,
Mój paniczu, żeś ladaco,
Że zamiast się drażnić z kotem,
Mógłbyś się też zająć pracą!
Idź do książki, ucz się szczerze,
Kto próżnuje bardzo grzeszy!
Ja pracują chociaż leżę,
Bo czatuję wciąż na myszy!“

Słonie w ogrodzie saskim.

Pisma warszawskie donoszą: W nocy około godziny 3-ciej słoń, znajdujący się w zwierzyńcu za Żelazną Bramą, uprzykrzył sobie pobyt w drewnianej budzie, pchnął swą głową drewniane wrota i wyszedł na miasto. Po drodze napotkał ogród Saski, który mu się widocznie podobał, gdyż wywalił bramę, tamującą wstęp do ogrodu i począł się po nim przechadzać. Zbudzony właściciel zwierzyńca pobiegł za uciekinierem i łagodną przemową namówił słonia do powrotu pod dach rodzinny.

MIKOŁAJ RYBOWSKI.

Ptaszki w zimie.

Wiatr na dworze śniegiem miecie...
Co to? kto tam? Słyszysz, dziecię?
Szare ptaszę w okno puka,
Okruszynki chleba szuka.

Śnieg skrył wszystko w tej godzinie,
Ziębi nóżki, piosnkę studzi,
Z chłodu, głodu ptaszę ginie,
Więc do dobrych puka ludzi.

Z nieba patrzy anioł Boży,
Czy okienko się otworzy,
Czy dzieciny rączka mała
Ptaszkom jadła posypała.

I za każdy okruch chleba
W miłosiernej dany myśli,
Złoty znaczek w księdze nieba
Złotem piórkiem anioł kreśli.

Skon historycznej żaby.

Zniknął pewien okaz ze świata żabnego zasługujący na wzmiankę. Mówimy o żabie pozbawionej mózgu, należącej do pana Wildera, profesora fizyologii na uniwersytecie Cornill Pan Wilder, chcąc wykazać że mózg u żaby jest organem jej świadomości i woli, wyjął jednemu osobnikowi tego gatunku obie półkule mózgowe. Żaba zniosła dobrze tę operacyę i wyzdrowiała szybko; przechowano ją w otwartem naczyniu, w którem przeżyła pięć lat. Najważniejszym objawem w jej zachowaniu się było zupełne pozbawienie wszelkiej inicyatywy. Ruchy jej nieznaczne były jak senne. Nigdy nie objawiała chęci ucieczki lub zmiany pozycyi. Nawet nie zdradzała chęci do jadła. Można było stawiać przed nią najpowabniejsze dla jej gatunku pokarmy, bez zwrócenia jej uwagi. Widziała zapewne, ale nie rozumiała znaczenia tego co widziała. Trzeba było żywić ją sztucznie. Co dzień otwierano jej pyszczek i wpychano w głąb gęby. tak aby pobudzić mechanizm połykania, kęs mięsa, albo ryby, W ten sposób utrzymano ją przy życiu. Inaczej zginęłaby z głodu. Za każdem dotknięciem poruszała się, i skoczyła, albo postąpiła kilka kroków; w wodzie pływała aż do napotkania przeszkody; obracała się, kiedy ją kładziono na grzbiecie; to było wszystko. Reagowała zatem na pobódki zewnętrzne, ale nie była zdolną poruszać się z własnej woli. Dowodziła swem zachowaniem, że istnienie półkul mózgowych jest warunkiem posiadania świadomości i woli. Biedne zwierzę przez pięć lat pouczało fizyologów i pięć pokoleń studentów ją oglądało. Należy przypuszczać, że sławna żaba nie miała świadomości o swym zgonie.